

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

Zanim Królecki zdążył wykonać jej polecenie, Stefa spostrzegła fiołki i wyciągnęła ku nim rękę.

— Patrzcie państwo, fiołki prawdziwe, a takie ładne, jak szfucnel... W listopadzie! to szyl muszę sobie przypiąć do żakietu!

Chciała z bukietu wyjąć garść fiołków, ale Królecki szybko chwycił ją za ramię i powstrzymał chciwą dłoń.

— Zostaw to! to nie dla ciebie.

Stefa spojrzała mu w twarz oczyma, w których migotały zły, drapieżny błysk.

— Oooo! cóż to takie święte, nietykalne? od kogóż to?...

— Wszysko jedno. Szkoda tych fiołków, żeby odrazu zmarniały.

— Co? co? to jak ja się w nie ubiorę, to one zmarnieją! — krzyknęła rozzłoszczona — a jak zechcę, to wezmę to zielsko i za okno wyrzucę.

— Nie zrobisz tego.

— Dlaczego? właśnie, że zrobię!...

— Ja nie pozwolę.

W głosie jego dźwięczały akcenty stanowczości, które Stefa знаła dobrze. Wiedziała, że kiedy Roman przemawia takim tonem, to należy przerwać dyskurs. Przeskakując odrazu do innej faktyki, poglaskała go po czarnych, naturalnie falistych włosach i powiedziała łagodnie.

— No dobrze, dobrze, niech tam ci będzie według twojej woli. Ja nawet wolę szluczne fiołki, bo nie wędną. Ależ wiesz, doprawdy powinienam się gniewać na ciebie. Tylko co mi przyjdzie z tego gniewu, kiedy ty i tak sobie z tego nic nie robisz.

Wyrzekła to z taką zabawną miną, że Roman roześmiał się.

— Ty Stefa jednak jesteś paradna.

— To się wie, tylko trzeba się umieć na mnie poznać.

Stefa usiadła, tuląc się, jak zziębnięta kotka w róg kanapy, ręce skrzyżowała na piersiach, uwydatniających się ponętnie pod zieloną jedwabną tkaniną, nogę założyła na nogę.

— Papierosy masz? dawaj! Stefka by się likieru napila, wiesz Romusiu?

Wyjął z małego kredensiku butelkę zielonego, przejrzystego płynu i nalał dwa kieliszki.

— Masz, pi...

— Ale nie tak, Stefa tak nie chce — kapryśna, przeciągając się leniwie — chodź tutaj bliżej, podaj, upij troszeczkę. Ot tak, widzisz, ty zbójcu jeden.

Ramiona ciepłe, krągłe, spłotły się dokola szyl mężczyzny, piersi falowały szybko, usta pełne, gorące, rozchylone pożądaniem zmysłowej rozkoszy, czekały pocałunków. Całym ciałem swoim młodem, jędrnym, pulsującym nieokleżaną krwią tuliła się do niego. Uścisk był tak mocnym, że zdawał się dusić.

Romanowi źrenice zaszyły mgłą, krew zaczęła wrzeć w żyłach. Przygarnął ją ku sobie silnie.

— Ty panterko! ty!

Gnac się w jego objęciach, oderwała nagle wargi od ust Romana i rzuciła pytanie:

— Ale ty mi dasz te fiołki?

— Weź, weź!

...

Zaspany, mruszący coś pod nosem stróż otworzył bramę, wypuszczając Romana Króleckiego i Stefę Łączkównę w czarną bezgwiezdną noc, przesyconą wilgocią, rozplakaną poświstem wichru, huczącego w rynnach i kominach.

— Co za wstrętne błoto, bućki sobie na nic zniszczę — sarknęła Stefa — poszukaj jakiej dryndy.

Roman zlewnął.

— Gdzież ja ci o tej porze znajdę dorożkę. Musimy iść piechotą, choć i mnie nie chce się wlec po tym błocie; no, chodźmy prędko.

Ujął ją pod ramię. Stefa podniosła rękę do głowy, przytwardzając mocniej woalkę, którą wlań zrywał. Wykonując ten ruch, straciła lokciem z klapy swego żakietu bukiet fiołków, które upadły w błoto i zostały zaraz zdeplane.

Z pod muru kamienicy oderwała się niepostrzeżenie drobna, ciemna postać i sunęła cicho, bezszelestnie prawie za idącą parą.

Światło latarni ulicznej padło na bladą, skurczoną bólem twarz Bronki Kuźniczówny.

ROZDZIAŁ III.

Woźny wszedł do pokoju maszynistek, oznajmiając, że pan sekretarz Królecki prosi, by któraś z pań zechciała przyjść do jego biura, bo ma pilną robotę. Wśród dziewcząt wszczęło się żywe poruszenie. Bronce Kuźniczównie rozszerzyły się wielkie czarne oczy, wstała szybko od swego stolika, ale zaraz usiadła, znowu bliźsza i posępniejsza niż przed chwilą.

— Ta może ja — pisnęła po lwowsku słusta Mania, ale Kazia zmierzyla ją spojrzeniem tak chłodnym i wyniosłym, że pucowała dziewczyna straciła odwagę.

— Proszę powiedzieć panu Króleckiemu, że dobrze, przyjdę — powiedziała Kazia z taką pewnością siebie, jakby to wezwanie specjalnie do niej było wystosowane.

Z za gęstych, ciemnych rzęs Bronki błysnęły płomienie, ale z zaciśniętych ust nie wyszło ani jedno słowo.

— Dzień dobry panu, panie Romanie — wy rzekła Kazia, wchodząc do gabinetu Króleckiego i przechylając właściwym sobie ruchem głowę lekko na jedno ramię — pan mnie prosił.

— Tak jest, prosiłem, by która z pań była łaskawa przyjść, mam ważny referat do podyskutowania.

Przerzucił kilka leżących przed nim ćwiartek papieru i widocznie zamierzał odrazu przystąpić do pracy. Ale Kazia, nie kwapiąc się bynajmniej do maszyny, przybliżyła się do biurka i jąla przedstawiać znajdujące się na nim drobiazgi, jak kalamarz, przycisk, popielniczkę.

— Ja tu zaraz panu tak wszysko zmienię, że będzie wyglądało zupełnie inaczej, pięknie, estetycznie. Ja już mam taką artystyczną rękę.

— Nie wątpię, ale możebyśmy to odłożyli na inny raz.

— O nie! estetyka przedewszystkiem. Człowiek tak dystygnowany i kochający piękno, jak pan, musi mieć wszysko dosłosowane do siebie. Pan dzisiaj tak jakoś blade wygląda, dziwnie interesująco, powiedziamy „oscylujaco“. jaki kolor oczu kobiecych pan lubi? prawda, że kobieta powinna mieć niebieskie oczy.

— Nie, proszę pani, ja uznaję tylko oczy czarne, jak noc — odrzucił zniecierpliwiony Roman, który nie mógł znieść cikliwej, wymuszonej kokieterii Kazi. — Ale o tem może także pogadamy kiedyindziej, bo teraz doprawdy mam tak mało czasu.

Kazia przycięła zębami dolną wargę, w jej jasnych oczach zamigotała złość, która w jednej chwili czyniła ją starszą, nadając delikatnym rysom wyraz ostrej i niemilby. Było to interesujące dla psychologa moment przetwarzania się cukrowo słodkiej i poetycznie powiewnej panienki w podstarzałą jędrę. Kazia powściągnęła się jednak i znowu wywołując na ustach uśmiech próbowała podtrzymać rozmowę choć na inny temat.

— Czy nie mógłby mi pan pożyczyć coś do czytania? coś poważnego, głębokiego ja tylko takie rzeczy czytuję. Najchętniej coś z socjologii lub etnologii — wymówiła emfazą naukowe terminy.

— Nie mogę pani służyć, nie zajmuję się temi naukami. A teraz zaczniemy nareszcie pisać.

Cera Kazi przybrała odcień cytrynowy bólem oczu rzuciła zły, nieprzyjazny spójrzenie i w milczeniu już zasiadła do maszyny.

Roman zaczął dyktować, referat był zawiły, wymagał specjalnego pracowania, to też Królecki dyktował wolno z namysłem, czyniąc już w trakcie dyktowania różne zmiany i poprawki. Kazia zapelniała już piśmem maszynowym kilka arkuszy, kiedy Królecki podszedł do stolika i przejrzał jej pracę.

— Ależ co pani tutaj popisała, to po prostu okropność! trzeba to będzie jeszcze raz przepisać. Doprawdy, że zamiast myśleć o socjologii i etnologii mogła by sobie pani kupić podręcznik ortografii.

Panna zerwała się oburzona z krzesła.

— Pan jest imperyent.

— A pani nie ma pojęcia o swojej robocie. Proszę poprosić do mnie pannę Kuźniczównę.

— Może sobie pan sam prosić, ja nie jestem na pańskie usługi. Żegnaj.

Wyszła trzasnąwszy drzwiami. Królecki trochę zły, że stracił arkusze, przekonał się jednak, że nie tylko nie było żadnych błędów, ale nawet poprawiono kilka omyłek, które on w pośpiechu popełnił.

— A to jędra i gęś. Będzie się miał spyszna, kto się w nią ubierze.

Posłał woźnego po Bronkę, która zjawiała się w kilka minut potem.

Cicho i krótko powiedziała „dzień dobry“ i zaraz puściła pod dyktando w ruch swoje wprawne palce po kawiszach maszyny. Królecki nauczony doświadczeniem z Kazią, przejrzał pierwsze zapisane arkusze. Przekonał się jednak, że nie tylko nie było żadnych błędów, ale nawet poprawiono kilka omyłek, które on w pośpiechu popełnił.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Z panią to robota idzie aż miło. Nietylko że pani pisze doskonale, ale orientuje się pani w przedmiocie.

Bronka podniosła na niego swoje wielkie ciemne oczy, podkreślone sinemi obwódkami. Spojrzała mu w twarz śmiało, przenikliwie i trochę jakby ironicznie.

— Dobrze, że przynajmniej tem mogę konkurować z innemi... — rzuciła i umilkła przestraszona własnymi słowami, które się jej nieopałrznie — piszemy dalej proszę pana?

Królecki, który dotychczas nigdy nie zwracał baczniejszej uwagi na tę cichą niepokojącą dziewczynę uczuł nagle jakieś zainteresowanie. Poraz pierwszy zauważył, że ona ma dziwnie piękne oczy podobne do tych, które się spotyka na obrazach mistrzów włoskich, oczy płonące wewnętrznym ogniem przygaszonym delikatną mgłą smutku, aksamitne, głębokie, słodkie, jak noc czarne i tajemnicze, a błyszczące jasno jak gwiazdy. Uderzył go ton jej głosu i gorzcy wypowiedzianych słów.

— Jak pani to rozumie?

— Co takiego...

— No to co pani przed chwilą powiedziała, o konkuruwaniu z innemi.

— Ot tak tylko mi się coś powiedziało! Głupstwo. Niema o czem mówić. Piszemy?...

— Niezbyt pani usposobiona do rozmowy ze mną — powiedział trochę dołknęty.

Znowu uderzyło go brzmienie jej głosu. Miał wrażenie, że poza temi obojętnymi a niezbyt grzecznymi słowami kryje się coś tajemniczego, nieodgadnionego.

— Osobliwa jakaś dziewczyna — pomyślał — nie jest wprawdzie ładna, ale interesująca. Ma w sobie coś niezwykłego.

Spojrzeniem swych szafirowych jak niebo włoskie źrenic, którym czarował zawsze kobiety, przesunął po liniach jej głowy kształtnej lecz oszpeconej purytańsko gładkimi, staroświeckim czesaniem, po owalu energicznym trochę zbyt ostrym i wydłużonym, po ustach ładnie wykrojonych ale zanadto bladych. Chociaż oczy miała spuszczone na klawisze maszyny, odczuła ten lustrujący wzrok.

Łuna rumieńca wybiegła na śniade policzki i rozszerzyła się na czoło wypukłe i wysokie z powodu niefortunnego uczesania i na szczupłą szyję wychylającą się z kołnierzyka skromnej bluzki i rubinowy pocałunek złożyła na anemicznych wargach, barwiąc je falą krwi. Błada mizerna dziewczyna rozkwitła jak kwiat przymrożony chłodem poranka rozkwitła pod gorącymi promieniami słońca.

— Ależ ona nawet nie brzydka, tylko fatalnie ubrana i uczesana, i zanadto chuda, mizerna...

Wzięła go jakoś przekorna, łobuzerska chęć aby Bronkę przyłapać na omyłce w robocie. Dyktując układał zdania w sposób zawiły, używał określeń czysto fachowych, posługiwał się wyrażeniami obcymi. Referatowi nie szkodziło to a Roman był ciekaw jak się też ta wyjątkowa stenotypistka z tego wywiąże. Zawiódł się jednak w swoich oczekiwaniach, wszysko było poprawnie napisane.

— Doskonale! — pochwalił nie mogąc ukryć swego podziwu — pani chyba specjalnie interesuje się sprawami ekonomicznymi?

— Specjalnie nie, kiedy się jednak ciągle te rzeczy pisze a trochę tylko uważa i myśli.

— O. óż to właśnie!... — zaśmiał się Królecki — kiedy się trochę myśli. A o to nie tak łatwo wśród naszych panienek w biurze.

— A po co im to?

— Czyż pani chce dla siebie zachować monopol myślenia wśród swoich koleżanek?

Ciąg dalszy nastąpi.